

Rozmowa z panem ANTONIM GARBACZÓW,  
przeprowadzona w Lublinie dnia  
05.12.1989r.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

RELACJONUJE

PAN ANTONI GARBACZÓW

Urodziłem się 08.01.1915r. we wsi IZABELINO na Wileńszczyźnie. Ojciec, Walerian Garbaczów, był pochodzenia robotniczego. Zajmowałem się pracą na roli.

W 1938r. zostałem powołany do wojska do V Pułku Piechoty w Wilnie. W wojsku służyłem jako strzelec suwarowy przeciwstrzałkowy. Przed sobą miałem broń, amunicję podnosił mi kolega amunicyjny. Służyłem przez dwa lata; 3.09.1939r. miałem wrócić do cywila. <sup>4</sup>a trzy dni przed zakończeniem służby wojskowej wybuchła II wojna światowa.

Ruszyliśmy na front. Latem 1939r. był upał i skwar. Wszystko było porozbijane i zdewastowane. Brakowało picia i jedzenia. Człowiek jechał, jechał i ledwo dyszał. Zgodnie z rozkazem, nie wolno nam było strzelać do żadnych czołgów bez zezwolenia dowódcy.

Mieliśmy brać udział  
Krażyliśmy, niczym błędne owce, wokół Warszawy, 20 - 30 - 50 km. Do Warszawy tymczasem nie doszliśmy. Zatrzymaliśmy się w niedużym lasku. Była godzina piętnasta, może szesnasta, kiedy zorientowaliśmy się, iż jesteśmy otoczeni wkoło. Przejścia ze wszystkich

stron były zablokowane przez Niemców. " pobliskiego cmentarza nadjechał na czarnym koniu Niemiec. Chciał rozmawiać z polskim pułkownikiem. Oznajmił pułkownikowi, że zostaliśmy otoczeni i dalsza walka nie ma sensu. Powinniśmy skapitulować. Jeżeli ktoś oddałby strzał, nikt z nas nie wyszedłby żywy z tego lasu.

Pułkownik przyjął warunki. Pobiegł do dowódcy i rzekł:

- Poruczniku, pójdziecie oznajmić żołnierzom, że się poddajemy.

- Panie pułkowniku - odparł porucznik - nie pójdę tego powiedzieć do wojska. Wojsko wyciągnie broń i powie: "jak to, my walczyliśmy, krew przelewaliśmy, a teraz porucznik mówi, że jesteśmy w niewoli!". Żołnierze mnie kropną i już.

- No, to nie! - mówi pułkownik - Znajdziemy takiego, który powie żołnierzom, że poddajemy się do niewoli bez strzelaniny.

Wówczas porucznik wydaje mi rozkaz z nakazem, aby go nie zdradzić:

- Panie Garbaczów, wycofajcie się trochę do tyłu, amunicję i broń pancerną zakopcie w różnych miejscach.

Po wykonaniu rozkazu podeszliśmy bliżej porucznika. Porucznik wziął spluwę dziewięćładunkową. Osiem ładunków załadował do magazynka, dziewiąty wstawił do lufy. Niemcy zaczynają brać nas do niewoli. Po obu naszych stronach stali Niemcy ustawieni rzędem.

Trudno mi powiedzieć, ilu było Niemców w tym momencie, gdy porucznik zaczął strzelać do Niemca po swojej prawej stronie. Wtedy widziałem tylko dwóch Niemców, lecz sam już nie wiem, ilu ich zabił porucznik.

Kiedy rozległy się te strzały, Niemcy otrzymali rozkaz strzelania. Otworzyli krzyżowy ogień strzałów. Niemcy zaczęli kropić wszystko, co znajdowało się w lesie: tabory, konie,

ludzi. Po prostu wszystko. Co też w tym lesie się nie działo!  
Cały las aż chodził.

Wówczas nasz pułkownik doskoczył do pułkownika niemieckiego i zaczął mu coś tłumaczyć. Niemcy donosili pułkownikowi o stratach w ludziach, mówili ilu ich żołnierzy jest zabitych i rannych. Na odległość trudno mi było stwierdzić, o czym pułkownik rozmawiał z Niemcami. Usłyszałem, jak powiedział "oficer polski", wskazując na porucznika. Wreszcie uspokoiło się to wszystko.

Pułkownik przyszedł wtedy do nas i mówi:

- Kto ma broń, złożyć! Oprócz broni wszystko można ze sobą wziąć. I podchodzić na cmentarz. Na cmentarzu usiąść i czekać!

Trwało to jakieś cztery do pięciu godzin. Poszliśmy na cmentarz. Podaliśmy się do niewoli. Po złożeniu broni przesiedzieliśmy na cmentarzu całą noc. Byliśmy otoczeni. Nad ranem przyszła kuchnia. Przywieźli nam herbatę i suchary. Dostaliśmy po dwa czy po trzy sucharki, które popiliśmy herbatą. Wtedy Niemcy powiedzieli nam:

- Nie ma co uciekać, Polacy, jesteście w niewoli. Teraz pojedziecie wprost do Niemiec, do niewoli.

Pułkownik nasz, stojąc, także przemówił do żołnierzy:

- Kochani żołnierze! No, cóż, jesteśmy w niewoli. Lecz jeżeli kto chce, może na własną odpowiedzialność ryzykować i uciekać. Nie zabraniam wam ucieczki. Możecie uciekać, możecie zostać. Postąpicie, jak uznacie za słuszne, jak zechcecie. Ale ja, jako pułkownik, radzę wam, abyście nie uciekali. Dostaniemy się do niewoli. Wojna nie potrwa długo - mówi - i z niewoli wrócimy.

I tak popędzili nas do tej niewoli. Poustawiali nas czwórkami. Mają prowadzić do niewoli. Śluzacy szybko porozumieli się

nie tylko między sobą, lecz również i z Niemcami. Szli w pierwszej linii, w pierwszych czwórkach. Z przodu dochodziło do nas Śląskie "kaj pierunie, kaj pierunie". Polacy nie umieli rozmawiać po niemiecku. A Ślązacy - jak to Ślązacy: z Niemcami porozumieli się i nas za sobą prowadzili.

Gdy nadeszła przerwa, okazało się, iż niektórzy nasi zdążyli już pouciekać. Po skończonej przerwie mówię do porucznika:

- Podejźmy do przodu zobaczyć, czy idzie tam ktoś znajomy.

Po zbliżeniu się do przodu, usłyszeliśmy pokrzykiwania Ślązaków:

- Paszła mi Polish!

Zaczęli nas łać pasami. Kiedy nas pobili, zrozumieliśmy, że to nie są żarty. Pomyśleliśmy: swoi żołnierze, tak samo idą do niewoli, ale cóż wyprawiają?!

Wtedy porucznik mówi do nas:

- Urznięjcie sobie pały. Pójdziemy do nich podczas następnej przerwy. Jeżeli potraktują nas pasami, naszą odpowiedzią będą pały.

Nadeszła przerwa. Każdy schował przygotowaną wcześniej pałę i ruszyliśmy do przodu. Ślązacy wykrzykiwali coś do nas po niemiecku. Wyciągnęli pasy. Gdy oni na nas z pasami, my na nich z kijami. Tak zaczęła się wojna pomiędzy nami i Ślązakami. Nie obyło się bez interwencji Niemców. Niemcy jechali na samochodach, z których wystawione były karabiny maszynowe. Zaczęli pruć z karabinów. Gdy usłyszeliśmy strzały z karabinów maszynowych, natychmiast wycofaliśmy się.

Przyprowadzili nas do pociągu. Załadowali w wagony i powieźli do Niemiec. Przez cały ten czas drogi do niewoli byłem przy poruczniku. Jechaliśmy razem w tym samym wagonie.

Przywieźli nas do Niemiec do Stablakeinsa. Zakwaterowali nas w stalagu, tam siedziałem. Stalagi były ogrodzone.

Otrzymaliśmy instrukcję. Wiedzieliśmy już, co mamy robić, jak postępować. Udaliśmy się naśniadanie. Po skończonym śniadaniu powróciliśmy do koszar. Wówczas Niemcy nakazali nam rozbroić Żydów. Wszystko, co dobre mają Żydzi, broń, żadne mundury, należało im odebrać. Mieliśmy ściągnąć z Żydów ich żadne mundury i zamienić na jak najgorsze.

Żydzi w tych stalagach znaleźli się jeszcze przed nami.

- Któż to będzie robił - myślimy. - My żołnierze i Żydzi też żołnierze. Razem znaleźliśmy się w niewoli. Któż więc to zrobi?

To było zbyt trudne polecenie do wykonania. Nie wykonaliśmy. Żydów zostawiliśmy w spokoju.

Nadchodzi pora obiadu. Było około trzynastej. Przychodzi Niemiec i woła:

- Wstawajcie! Już jest obiad.

Więc idziemy czwórkami. Znaleźliśmy się w kuchni. Wówczas rozległy się krzyki, aby nas wszystkich cofnąć. Przyjechał nowy transport świeżych więźniów i tamtych należało nakarmić w pierwszej kolejności. Nas zawrócono.

Siedziałem w tych stalagach przez cztery dni. Człowiek był głodny jak pies; celowo jeść nam nie dawali. Po czterech dniach zrobiono zbiórkę. Zebraли nas wszystkich. Wystąpił młody Niemiec i pyta:

- Kto chce pójść do roboty?

Źomyślałem, że dalsze siedzenie tutaj nie ma sensu. Lepiej będzie, gdy zgłoszę się na ochotnika.

Przyjechał niejaki Palimski, który w poprzedniej wojnie światowej był w niewoli. Palimski był Niemcem, pracował w majątku jako kierowca. Dziedzic tego majątku, Niemiec, był majorem.

W tym czasie major przebywał w Warszawie, na froncie.

Z Palimskim przyjechała również dziedziczka, żona majora. Potrzebowała dziesięciu osób do pracy. Każdy bardzo chciał się zgłosić. Dziedziczka podeszła do mnie i zapytała, czy jestem "szwajcarem". Nie wiedziałem, co oznacza słowo "szwajcar". Okazało się, że to ten, co krowy doi.

- Tak, szwajcar- odparłem i zostałem wybrany.

Wybrali nas już dziewięciu. Potrzebowali jednego tłumacza. Zgłosił się Ślązak, który znał niemiecki.

Załadowano nas na samochód. Przyjechaliśmy do majątku dziedziczki. Natychmiast poszliśmy obmyć się, wykapać. Po powrocie z łaźni otrzymaliśmy posiłek. Dali nam nieduże miseczki, takie talerzyki. Jak dzisiaj pamiętam, była manna kaszka, czy coś takiego podobnego do kaszy. Słodzone to było. Tej kaszy było z pół litra. Praktycznie nie jedliśmy już od pięciu dni, byliśmy bardzo wygłodzeni. Nikt nie jadł więc tej kaszy łyżką. Miseczki opustoszały w mgnieniu oka.

Na dole znajdowała się kuźnia. Nas zakwaterowano w pokoju na piętrze. Mieszkało nas tam razem dziesięć osób: dziewięciu robotników i dziesiąty tłumacz. Mieliśmy swojego wachmana, który nas pilnował, zamykał na noc i odmykał.

Następnego dnia Palimski zapytał, czy znam rosyjski. Po niemiecku w tym czasie jeszcze nie rozumiałem. Po uzyskaniu twierdzącej odpowiedzi, Palimski udał się do dziedziczki i przedstawił jej swój projekt:

- Mam takiego jednego, co umie po rosyjsku. Ja umiem po rosyjsku i on umie, więc gowezmę, aby jeździł za mną jako kierowca.

Po rozmowie z dziedziczką, Palimski oznajmił, że zostaną

jego zastępcą. Jeździłem za nim jako kierowca.

Następnego dnia dali nam zupę. Nalewali kanwą, po pełnym talerzu. Była to zupa z brukwi z odrobiną mięsa. Zjedliśmy do czysta. Dziedziczka zorientowała się, że to za mało, że tego jedzenia nam nie wystarcza. Następnym razem przynieśli już większą kanwę. My i tę większą zjedliśmy. Wtedy dziedziczka przyniosła dużą kanwę, jednolitrową. Zjedliśmy i tę litrową. Widząc to, dziedziczka powiedziała do Palimskiego:

- Lepiej świnie paść, niż tych Polaków wyżywić. Przecież oni nas wszystkich przeżrą, tak dużo jedzą.

Lecz stopniowo z każdym dniem, w miarę upływu czasu, jedliśmy coraz to mniej.

Byłem z Palimskim przez cały czas. Jeździłem za nim.

Fewnego dnia dziedziczka uprzedziła nas o przyjeździe swego męża majora.

Przyjechał major. Przyszedł do nas z wachmanem. Zjawił się również tłumacz. Major przywitał się ze wszystkimi, każdemu podał rękę. Zapytał, czy jesteśmy Polakami. Pytał, z jakich stron pochodzimy.

- Dzisiaj - oznajmił - żołnierze, jemy wspólny obiad.

Na obiad przyszedł także wachman. Major przyniósł nam litr wódki żubrówki z trawką. Otrzymaliśmy od niego po czekoladzie.

- Żołnierze - przemówił major - wy tutaj krzywdy nie macie. Musicie robić, nie tu, to tam, ale robić musicie. Ja jestem w Warszawie. Gdy wychodzę rano, nie wiem, czy wieczorem wrócę. Wy tutaj jesteście bezpieczniejsi. Pracujecie u mnie, lecz przecież moja żona nie robi wam krzywdy.

Wkrótce wojna skończy się: przyjadę tutaj, a wy powrócicie do swoich domów.

Wszystko, co mówił major, tłumaczył nam tłumacz.

Po obiedzie żona powiedziała, że w majątku wszystko układa się pomyślnie. Ma jednak pewien problem z Garbaczowem. Major był wyraźnie zainteresowany. Dziedziczka powiedziała, iż Garbaczów, jako zastępca kierowcy, wraca o różnych porach, czasem o dziesiątej, ale niekiedy również o jedenastej czy dwunastej w nocy. Wszystko jest wtedy już pozamykane, pod kluczem. Trzeba więc wołać wachmana, aby pootwierał i wpuszczał Garbaczowa.

- Jakież to problem? - rzekł major. - Aby ludzie odpoczywali, aby nie budzić wachmana, trzeba dać mu oddzielny pokój. Niech przez kuchnię przechodzi do swego pokoju i niech kładzie się normalnie, nikogo nie budząc.

Dziedziczka zastosowała się do rad swego męża.

Z Palimskim pracowałem mi się dobrze. Po Niemczech, jako jego zastępca, poruszałem się swobodnie. W razie zatrzymania przez Niemców w celu kontroli, nie miałem żadnych problemów. Wyciągałem dokumenty, z których wynikało, iż jestem Polakiem, pracującym jako kierowca dla Niemców.

Wreszcie Palimski zaproponował zapoznać mnie ze swoją szwagierką:

- Wiesz co, mam szwagierkę, która jest dyrektorem restauracji. Młoda, umie się podobać. Na pewno i tobie się spodoba. Wiesz co, Antoni, pojedziemy do Berlina i zajedziemy tam.

Zajechaliśmy więc. Zostałem przedstawiony jego szwagierce.

- Podoba ci się ten Polak - zapytał Palimski szwagierkę.

- Dlaczego nie? Fajny chłopak.

Łaczełi nas swatać, chcieli, żebym ożenił się z nią.

Wtedy Palimska, jego żona, sprzeciwiła się.

- To żadna sztuka ożenić się. - stwierdziła Palimska.  
- Jak się ożeni, będzie musiał przyjąć niemieckie obywatelstwo. A gdy już przyjmie obywatelstwo niemieckie, natychmiast wezmą go na front. Nie wiadomo, kiedy skończy się front. Ale pewne jest, że Antoni z frontu może wrócić lub nie wrócić nigdy.

W ten sposób wyperswadowano mi to małżeństwo.

Po rezygnacji z małżeństwa niebawem nadchodzi decyzja o opuszczeniu tego miejsca.

W miesiącu maju uciekamy stamtąd. Uciekło nas dziewięciu. Dziesiąty, tłumacz, został. W kuźni były przybite kraty. Ale zdecydowaliśmy się jednak na ucieczkę przez kuźnię. Jeden z nas przed spodziewaną ucieczką poderżnął kraty. Każda krata była podcięta z osobna. Spuściliśmy się po sznurku. Jeden, który został, ponownie poustawiał kraty na swoim miejscu.

Podobno przez trzy dni nas szukali i nie mogli dojść, w jaki sposób i którędy uciekliśmy. Wachman niczego nie zauważył. U niego było zamknięte. Sprawdzali wszystko, lecz zarówno drzwi, jak sufit i kraty były w porządku.

Naskoczyli więc na wachmana, jako jedyne podejrzanego:

- Ty, stary dziadu, ty kłamiesz. To ty ich puściłeś, a nas oszukujesz, że uciekli. W jaki sposób uciekli?!

A przecież ucieczka nasza odbyła się bez udziału wachmana. Szliśmy pieszo jakieś jedenaście, może dwanaście kilometrów. Dotarliśmy do granicy niemiecko-litewskiej. Granicę niemiecką przeszliśmy. Przy litewskiej granicy jeden z kaprali zapytał, kto zna litewski. Zgłosiłem się. Zapewniłem, iż u nas na Wileńszczyźnie mówimy po polsku, po litewsku, ale także i po rusku, i po łotysku mówią.

Nakazano mi, abym nie przyznawał się, że znam litewski. Miałem uważnie przysłuchiwać się co mówią Litwini.

Na drugiej granicy spotkaliśmy Litwinów. Na patrolu był sierżant i dwóch szeregowych. Złapali nas i przyprowadzili do wartowni. Dopiero wtedy zwróciłem się do nich po litewsku:

- Panie sierżancie, ja osobiście jestem z Wilna.

Mówię po litewsku.

Gdy sierżant to usłyszał, zaczął mnie strofować w języku litewskim:

- No, panie kolego! Dlaczego nie powiedzieliście nam tego tam, w lesie, gdy was złapaliśmy? Nie byłoby wówczas żadnego problemu. Poszlibyśmy w swoją stronę, a wy w swoją. Lecz teraz jesteśmy na wartowni. Tylu ludzi, tylu żołnierzy widzi. Gdybym was puścił, powiedzieliby, że sierżant wypuścił jakichś szpiegów. A wojna jeszcze nie skończyła się przecież. Wiecie, co ja za was dostanę? Niestety, nie mogę nic dla was zrobić.

Zamówiono dla nas śniadanie. Dali jeść, przynieśli kawę. Gdy zjedliśmy śniadanie, sierżant podszedł do telefonu i zadzwonił do Niemiec. Wróciliśmy do Niemiec.

Na wartowni siedzieli Niemcy z karabinami maszynowymi - jak to zwykle na granicy. Z jednej strony Litwini, z drugiej strony byli Niemcy z ustawionymi w naszą stronę karabinami maszynowymi.

Przychodzimy do Niemców, a oni do nas po niemiecku:

- A co? Uciekacie z tej świńskiej Polski do domu?

- Wracamy do roboty - odpowiedzieliśmy.

Zaprowadzili nas do takiego dużego baraku. Tam nas zamknęli. Powiedzieli nam, że za to przejście będziemy tutaj

odbywać 21-dniową ścisłą karę.

Przyszedł Niemiec, zjawił się również tłumacz. Obydwaj uważali, iż nasza ucieczka była pozbawiona jakiegokolwiek sensu.

Dobrze już nie pamiętam, kiedy przyjechała do nas dziewczeczka. Było to chyba na drugi lub na trzeci dzień, od czasu, gdy nas zamknięto. Dziedziczka rozpoznała w nas swoich robotników. Usiłowała dowiedzieć się, w jaki sposób uciekliśmy. Musieliśmy jej to wytłumaczyć. Przyznaliśmy się do tego, że kraty w kuźni przecięliśmy wcześniej przed zaplanowaną ucieczką. Powiedzieliśmy jej także, iż starannie zacieraliśmy za sobą wszelkie ślady naszej ucieczki. Również i kraty ponownie ustawiliśmy na swoim miejscu. W wyniku uzyskanych wyjaśnień, dziewczeczka przekonała się, iż niesłusznie podejrzewała wachmana.

- W porządku. Wróćcie do mnie do roboty! - zdecydowała dziewczeczka. - Ale przedtem musicie odsiedzieć swoje.

W baraku siedzieliśmy rządkami, między którymi chodził Niemiec. Nie wolno nam było absolutnie rozmawiać, nie wolno było również spać. Gdy tylko ktoś usnął, natychmiast był bity. Przez dwa dni nie dali nam w ogóle jeść. Na trzeci dzień otrzymaliśmy już normalne porcje jedzenia.

- Wiecieco, chłopcy, trzeba coś kombinować - powiedziałem do współwięźniów. - Przecież znowu znaleźliśmy się w sidłach.

Zdecydowałem się zachorować. Nagle zrobiłem się chory. Oznajmiłem o tym Niemcowi:

- Ich krank!

Wówczas bardzo niewiele jeszcze potrafiłem powiedzieć po niemiecku. Dopiero później, z upływem czasu spędzonego

w niemieckiej niewoli, nauczyłem się całkiem nieźle posługiwać tym językiem. Usłyszawszy to, Niemiec popatrzył na mnie, coś zapisał w papierach. Na koniec otrzymałem jakiś papier służbowy, z którym udałem się do lekarza.

- Was ist krank? - lekarz zapytał, co mi dolega.

Zamiast odpowiedzieć po niemiecku, że boli mnie głowa, powiedziałem:

- Mein Kopf schwarz.

Moja odpowiedź została przyjęta przez Niemców wybuchem spontanicznego śmiechu. Niemiecki porucznik, który tam siedział, powiedział:

- Ja tego nie rozumiem. Wytłumacz mi, dlaczego twoja głowa jest czarna.

Okazało się, że "schwarz" oznacza kolor czarny. Tak więc z mojej wypowiedzi wynikało, że mam czarną głowę.

- Strasznie boli mnie głowa! Moja głowa nie jest czarna!

Wówczas porucznik wytłumaczył mi, że powinienem zamiast "Mein Kopf schwarz" powiedzieć: "Mein Kopf krank". Na koniec porucznik rzekł:

- Jacy wy, Polacy, jesteście zdolni! Czy chcielibyście pójść jeszcze do roboty?

- A dlaczegożby nie? Oczywiście, że chcemy wrócić do roboty.

- Do tej samej gospodyni chcecie? - zapytał porucznik.

- Tak! - odpowiedzieliśmy.

Wtedy porucznik polecił mi:

- Wy, jako plutonowy, idźcie zorganizujcie sobie dziesięć osób. Pojedźcie do tej samej gospodyni do pracy.

Wróciwszy do baraku, przekazałem najświeższe nowiny.

Wachmistrz popatrzył na mnie i powiedział:

- Widzisz go, jaki spryciarz!

- Kto chce iść do roboty? - zapytałem.

Spisałem imiona i nazwiska. Miałem już dziewięć osób, ja byłem dziesiąty. Wszyscy udaliśmy się do łaźni. Po kąpieli otrzymaliśmy nową bieliznę i mundury. Niebawem znaleźliśmy się ponownie w majątku dziedziczki. Z powrotem pracowaliśmy.

Pracowaliśmy tam jeszcze przez rok czasu. W sumie pracowaliśmy tam od 1939 roku do końca 1941 roku. Uciekliśmy stamtąd ponownie w grudniu 1941 roku.

Zamiarem ucieczki podzieliłem się z Palimskim. Palimski ostrzegał mnie, że mogą mnie złapać. Byłem jednak uparty. Palimski okazał się niezwykle uczynnym szoferem. Pomagał nam w ucieczce. Gdy uciekliśmy stamtąd, podjechał po nas samochodem. Palimski zabrał nas do samochodu i podwiózł pod prawie samą granicę niemiecko-litewską. Uciekaliśmy wszyscy, poza jednym, który zdecydował się pozostać w niewoli. Z Palimskim jechałem legalnie. Zajmowałem miejsce na przodzie samochodu, reszta siedziała w ukryciu.

Przy granicy Palimski powiedział, że dalej nie pojedzie. Bał się.

- Jak was złapią, powiedzcie normalnie, że uciekacie. I oczywiście: nikt was nie wiózł! - Palimski udzielił nam ostatnich wskazówek.

Gdy przywiózł nas pod granicę, zaczął płakać. Wskoczyliśmy z samochodu i - w nogi!

Wiał silny, porywisty wiatr.

Podchodziliśmy pod granicę. Powiedzmy, że wartownia usytuowana była z prawej strony, my szliśmy na wprost. Przed wojną przechodziłem już granicę litewsko-łotewską,

dzięki temu orientowałem się w przepisach, jakie obowiązywały strażników granicznych.

- Dalej już nie podchodzimy - powiedziałem do chłopców.  
- Wiem, że tutaj blisko znajduje się już granica. Uciekajmy. W razie czego starajmy się za wszelką cenę przeskoczyć granicę. Jeżeli jest strefa niemiecka czy rosyjska, wystarczy ją przeskoczyć tak, aby znaleźć się poza zasięgiem bagnetu strażnika. Strażnicy mogą strzelać tylko do neutralnej linii. W obcej strefie już nie mają prawa strzelić.

Usłyszeliśmy szczekanie psów i krzyk: "halt! halt!"  
Usiłowaliśmy uciekać. Rozdzieliliśmy się. Skierowałem się w prawo, reszta chłopców w lewo. Razem ze mną uciekających w prawą stronę, było dwóch. Byliśmy Scigani. Ten drugi wkrótce odłączył się i pozostałem sam. Próbowano mnie dogonić. Zdołałem przeskoczyć granicę. Wtedy pogoń za mną przerwano. Strażnicy poszli za tym, co odłączył się ode mnie.

Byłem niesamowicie zdenerwowany. Dostałem rozwolnienia, nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje. Była tylko świadomość, że zostałem sam jeden. Ze strachu nie wiedziałem, co począć. Zdecydowałem się usiąść i nasłuchiwać.

Niczego nie słyszałem z powodu silnego wycia wiatru w kierunku przeciwnym. Nie mogłem więc usłyszeć, jak strażnicy Scigają pozostałych moich kolegów.

Przeżegnałem się i pomyślałem: "zostałeś sam, więc sam idź!".

Dzień był grudniowy, lało i trząsało, pod nogami szeleściły liście. Szedłem pomału. Spostrzegłem, iż na przeciw mnie zbliża się trzech żołnierzy. Z jednej strony była Republika Niemiecko-Litewska, z drugiej granica rosyjska. Na tym terenie

z jednakowym prawdopodobieństwem mogli poruszać się zarówno Rosjanie, Litwini, jak i Niemcy. Nie wiedziałem, kim są ci żołnierze.

W pobliżu znalazłem bruzdę, w której skryłem się. Dmuchał na mnie silny wiatr. Leżąc w bruzdzie, ze strachem patrzyłem na nadchodzących żołnierzy. Właściwie żołnierze szli całkiem normalnie, swoją drogą. Ich spokój i obojętność nie wskazywały na to, że kogokolwiek gonią. Lecz człowiek, sparaliżowany strachem, traci głowę. Żołnierze nadchodzili bliżej, bliżej, coraz bliżej. Zastanawiałem się, co robić.

Czy wstać i krzyknąć, że poddaję się? Niech mnie zabiorą do niewoli, byleby tylko nie strzelili?

Żołnierze przeszli obok, w ogóle nie zauważając mnie. Usłyszałem rozmowę w języku rosyjskim, z której wynikało, że przejdą tędy i już więcej dzisiaj nie będą chodzić. A więc to byli Rosjanie!

Gdy Rosjanie przeszli obok mnie, znowu się przeżegnałem. Wyskoczyłem z bruzdy na szosę. Zacząłem uciekać szosą, nikt mnie nie widział. Dobiłem do skrzyżowania, na którym widniały drogowskazy w języku litewskim.

Świtało już, gdy wbiegłem do wioski. Postanowiłem wejść do stodoły, aby trochę odpocząć. Byłem wygłodzony. Wyjadłem krowom chleb. Wydoiłem jedną krowę i popiłem mlekiem. Położyłem się na sianie.

Do stodoły weszli gospodarze-Litwini. Z ich rozmowy wynikało, iż tego dnia zamierzają jechać do miasta. Gospodyni obrządziła krowy. Przy udoju była bardzo zdziwiona, że jedna krowa, wydojona już przeze mnie, dała bardzo mało mleka.

Gdy Litwini opuścili stodołę, postanowiłem wstać.

Wszedłem do ich domu. Po wymianie "dzień dobry", gospodarz poprosił, abym usiadł. "opatrzył na mnie uważnie i powiedział:

- Na pewno uciekł pan z niemieckiej niewoli. Jest pan zmęczony?

Żonie nakazał dać mi jeść. Mieli masło, ser, mleko, zupę. Początkowo gospośnia nie chciała mi tego dać. Działo się to w piątek. W tym dniu Litwini przestrzegają rygorystycznie postu. Rozplakałem się. Wówczas gospodarzom zmiękło serce i nakarmili mnie pomimo postu. Zjadłem wszystko, co dali. Nagrzali wody na mycie. Następnie położyłem się odpoczywać. Spałem bardzo długo. Obudzili mnie dopiero następnego ranka.

Zjadłem śniadanie. Podziękowałem gospodarzom za udzieloną mi pomoc. Zamierzałem ich opuścić i ruszyć do Wilna. Poradzili, abym zaczekał na spodziewany przyjazd do wsi Rosjanina z Wilna. Rosjanin przyjeżdżał tam do swojej narzeczonej. Zaczekałem. Rosjanin podwiózł mnie do Wilna.

W Wilnie miałem siostrę i szwagra. Zastałem tylko szwagra, który powitał mnie okrzykiem zdziwienia i radości. Ojca, który mieszkał po drugiej stronie granicy, szwagier nie widział od dawna. Szwagier mieszkał po stronie granicy niemiecko-litewskiej, a ojciec litewsko-rosyjskiej. Dzielika ich odległość zaledwie sześćdziesięciu kilometrów, lecz przekraczanie granicy było zabronione. Ja jednak uporczywie zamierzałem przedostać się do ojca.

Szwagier podrzucił mnie do przygranicznej wioski litewskiej.

Zaprowadził mnie do znajomego Litwina. Było to w sobotę, dzień, w którym Litwini tradycyjnie robią sobie kąpiel. Również i my poszliśmy do łaźni, tam porozmawialiśmy, omówiliśmy plany odnośnie mojej ucieczki. Niedaleko łaźni znajdowały się przygraniczne wieże obserwacyjne. Zmiana patrolu odbywała się o godzinie dwunastej. Moją ucieczkę znajomy zaplanował na godzinę wcześniej.

Od jego żony dostałem onuce, którymi okręciłem nogi. Zawiązałem je sznurkami. O godzinie jedenastej ruszyliśmy. Litwin podprowadził mnie prawie do samej granicy. Do granicy brakowało około pięćdziesięciu metrów. Uprzedził, aby w razie wpadki nie przyznawać się, że idę z Wilna, że mam tam swoją rodzinę. Miałem mówić, że uciekam z niewoli i nie znam tutaj nikogo.

Drogę znałem dobrze, postanowiłem sam iść dalej. Zapomniałem jednak, że za tą strefą znajduje się rów. Głębokość rowu dochodziła zaledwie do około półtora metra. Podczas suszy, pogody rów był zwykle suchy, lecz w okresie opadów spływała tamtędy woda do rzeki. Również podczas mojej grudniowej przeprawy rów wypełniała woda. Gdy wpadłem do rowu, zamiast szybko stamtąd wyjść i uciekać dalej, zacząłem zawracać. Chyba z tej radości zupełnie straciłem głowę i udałem się w kierunku powrotnym. Kiedy znalazłem się we wsi, sam sobie nie dowierzałem, że wszystko wokół wydaje mi się znajome. Ostrzegłem łaźnię, w której niedawno kąpaliśmy się. Bez trudu odnalazłem dom swoich znajomych. Zapukałem do drzwi.

Litwin, słysząc mój głos, wystraszył się, że przyszedłem z żołnierzami. Zapewniłem go, że jestem sam. Uspokoił się.

Gdy otworzył, wytłumaczyłem, co mi się przydarzyło. Było już za późno, aby ponownie przeprowiać się przez granicę. O dwunastej następowała zmiana patrolu. Zatrzymałem się u znajomego.

Granicę przeszedłem w sobotę rano.

- - - - -

W domu pierwszą spotkaną przeze mnie osobą była moja matka. Matka początkowo nie poznała mnie. Nasza rozmowa przypominała przypadkowe spotkanie z nie znanym wędrowcem.

W końcu spytałem o ojca:

- Czy jest w domu pan Garbaczów?

- Nie, nie ma. Poszedł do wujka. - Matka spojrzała na mnie i mnie poznała.

Z wrażenia zemdląca. Wziąłem mamusię na ręce. Otworzyłem drzwi i przenieśliem ją na łóżko.

Podskoczył do mnie brat Stefan, który służył w rosyjskiej kawalerii. Przybiegły siostry. Powstało zamieszanie. Przywróciłem rodzeństwo do porządku, nakazując ratować mamę, zamiast zajmować się mną. Po udzieleniu pomocy, mamusia oprzytomniała.

Mama nakazała siostrze Irence pójść po ojca i powiedzieć mu, aby natychmiast wracał do domu. Przykazała jej, aby nic więcej nie mówić ojcu, aby nie wspominać nic o mnie. Ojciec poszedł do wujka, który mieszkał na terenie znajdującym się pod niemiecką okupacją.

Zapłakana Irenka pobiegła do wujka i zawołała ojca.

Ojciec zrozumiał, że wydarzyło się coś niezwykłego.

- Co się stało?

- Śniadanie - odpowiedziała Irenka.

- Jakie tam śniadanie. Mów, co jest. No, mów!

- Mnie Tosiek nie kazał mówić.

Gdy Irenka powiedziała "Tosiek", ojciec nie zorientował się, że to chodzi o mnie. Jednak wujostwo na dźwięk słowa "Tosiek", od razu zrozumieli, co się wydarzyło. Ruszyli za ojcem. Przybiegli do naszego domu wszyscy razem. Z wujostwem rozmawiałem po niemiecku.

Zastanawialiśmy się, co mamy robić. Nic rozsądnego nie potrafiliśmy wymyślić. Sobotę przespaliśmy.

W niedzielę tatuś zdecydował się pójść do sołtysa. Może on coś pomoże? Przyszliśmy do sołtysa:

- Panie Garbaczów, cóż ja panu pomogę? Nie wybrali, więc tu jestem. Lecz pomoc w niczym nie mogę!

Kilometr od nas mieszkał starszyna. Starszyna często, prawie w każdą niedzielę i święta, odwiedzał ojca - pili, jedli, rozmawiali. Sołtys poradził, aby prosić o pomoc starszyny. Napisał pismo, z którego wynikało, iż po ucieczce z niemieckiej niewoli, wróciłem do wsi, do swojej rodziny. Ojciec z tym pismem chodził po wsi, od domu do domu i zbierał podpisy wieśniaków.

Z pismem tym udaliśmy się na posterunek, do starszyny.

Moja sprawa nie była zupełnie obca starszynie. Wiedział od ojca, iż przebywam w niemieckiej niewoli. Starszyna uspokoił nas, że będzie wszystko dobrze. Polecił mi wrócić do domu. Zapewnił o swojej pomocy w razie ewentualnych problemów.

Tak też postąpiliśmy. Wróciłem do domu, lecz niestety nie zabawiłem tam długo.

Następnego dnia o godzinie piątej rano przyjechało po mnie dwóch żołnierzy. Jeden siedział na koniu, drugi z konia zeskoczył. Wykrzykując do ojca, chciał dowiedzieć się, gdzie jestem. Spałem, gdy wtargnął do domu. Nakazał mi się zbierać.

Brat mój podskoczył do żołnierzy. Mówił, że chyba zwariowali, żądając czegoś ode mnie. Interwencja brata okazała się bezskuteczna.

Ojciec radził mi wziąć kożuch. Nie wziąłem. Ubrałem się po żołniersku; założyłem wojskowy mundur i buty wojskowe. Wyprowadzili mnie na dwór. Tam przykuli mnie do siodła i w ten sposób prowadzili przez całą wioskę. Nie pamiętam, jak szedłem. Byłem zalany łzami, rozpacziałem. Wioski nie widziałem, nie oglądałem jej.

Przyprowadzili mnie do starszyny. Starszyna umieścił mnie w pokoiku, zakazując oddalania się.

Kiedy przyszła do mnie rodzina, było chyba między godziną ósmą a pół do dziewiątej. Ojciec, matka, brat i wujek przynieśli mi jeść. Starszyna pozwolił im wejść do mnie i porozmawiać. Tatuś płakał, przewidywał najgorsze. Mówił, że wywozą mnie nie wiadomo gdzie i ślad po mnie zaginie.

Postanowiłem uciekać nocą do Wilna, zmienić nazwisko, aby zaoszczędzić rodzinie problemów. Ojcu i wujkowi spodobał się ten plan.

Gdy wrócili do domu, zaszli do sołtysa.

- Panie Garbaczów, co pan?! - rzekł sołtys. - Co wy robicie? Jeżeli on ucieknie, automatycznie zostanie uznany jako szpieg. Cała rodzina znajdzie się na Sybirze!

Na rowerze przyjechał do mnie brat.

- Kochany braciszku nie rób tego! - Brat przekazał mi słowa sołtysa.

- Trudno, uciekałem od wilka, a trafiłem na niedźwiedzia. Będę już u nich siedział - odparłem.

Okolo godziny dwunastej w południe zaczęli schodzić się koledzy. Przynieśli mi jeść. Później przespałem się. Raniutko załadowali mnie na wóz i wywieźli.

Nie wywieźli mnie do Rosji, tylko jakieś 160 - 260 kilometrów od Wilna, dokładnej odległości już nie pamiętam. Wywieźli nas do STAREJ WILEJKI. Był grudzień 1941 roku. Kiedy nas pędzili do Starej Wilejki, było wśród nas wielu ludzi starych, schorowanych i wyczerpanych. Nie mieli oni siły iść. Młodszy i silniejsi próbowali im pomóc w marszu, przytrzymać pod pachami, podprowadzić. Wówczas podjeżdżali rosyjscy jeźdźcy i zabijali ich bagnetami. A nas dalej pędzili. Tak właśnie obchodzono się z nami.

Po przybyciu do Starej Wilejki natychmiast zamknęli mnie w małym pokoiku. Razem było nas w tym pokoju dwudziestu czterech więźniów; polityczni również byli.

Wszczęto przeciwko mnie śledztwo, o ile można to tak nazwać. Owo "śledztwo" wyglądało w następujący sposób:

O godzinie trzeciej prowadzą nas na śledztwo. Pan siedzi w tej celi i ja. Gdy pana wyprowadzają z celi, a mnie do celi wprowadzają, zakrywają nas workami, jednego z nas stawiają twarzą do ściany. Chodziło o to, aby jeden drugiego nie widział. Na śledztwie ustawiają cię koło ściany, twoją głową, brodą walą o mur.

Nad pytaniami, będącymi już gotowymi odpowiedziami, nie trzeba było zastanawiać się długo:

- Polak?

- Polak.

- Ilu zabiłeś? Zabiłeś stu ludzi?

- Stu.

- Zabijesz jeszcze ilu? Dwustu?

- Dwustu.

Trzeba było powtarzać jak papuga. Takie to właśnie śledztwa prowadzili w Starej Wilejce. Raz i drugi stłukli mnie na śledztwie. Kolejnym razem znowu zaczął mnie bić. Miał przed sobą szeroki stół. Nie rozstawał się z pistoletem, który był naładowany. Nie wytrzymałem. Wstałem, chwyciłem krzesło i mówię:

- Albo ty mnie zastrzelisz, albo ja ciebie zabiję.

Ale bić mnie nie będziesz. Co chcecie? Mało wam jeszcze mięsa?! Za co mnie mordujesz? Ojciec mieszka 260 kilometrów stąd; możesz pojechać na wieś i wszystkiego dowiedzieć się o mnie.

- Szpion! - zakrzyknął śledczy.

- Gdybym był szpiegiem, to po przejściu granicy zrobiłbym swoje i ponownie przekroczyłbym granicę. Lecz ja sam, dobrowolnie, zgłosiłem się do was. Jak więc mógłbym być szpiegiem!

Włożyłem głodówkę. Gdy przynieśli do celi dwadzieścia cztery porcje jedzenia, moi współwięźniowie już nie podnosili się. Wówczas ja jeszcze wstawałem. Wstałem, aby powiedzieć:

- Potrzeba dwadzieścia trzy porcje. Jeden głoduje!.

Zapisali. Przez trzy dni nie przyjmowałem posiłków. Zażądałem rozmowy z prokuratorem lub naczelnikiem więzienia. Na trzeci dzień pojawił się naczelnik.

- No, panie Garbaczów, co to? Dlaczego nie chcecie jeść? Głodujecie?

- Tak!

- O co wam chodzi? - zapytał naczelnik.

- Chcę rozmawiać z naczelnikiem lub prokuratorem.

- Jestem naczelnikiem więzienia.

- Naczelniku, czego ode mnie chcecie? Dlaczego on mnie bije, za co katuje? O godzinie trzeciej - czwartej wstaję na śledztwo. Śledczy mnie katuje. Mówi, że ja, Polak, zabijem tyłu, a tyłu Rosjan jeszcze zabiję. Jak to jest możliwe, abym zabił Rosjan, skoro do tej pory nie widziałem ich na oczy! We wrześniu 1939 roku dostałem się do niemieckiej niewoli. Gdzież więc miałbym zabijać Rosjan? Czy w niewoli w Niemczech! Jeżeli chcecie zabić człowieka, zgoda. Niech naczelnik kropnie spluwą i nie trzeba ludzi męczyć!

- W porządku, w porządku - naczelnik mnie uspokajał.

W wyniku tej rozmowy naczelnik zmienił mi śledczego na kobietę. Miała ona w Polsce rodzinę, więc orientowała się, jak żyją Polacy i jacy są.

- Panie Garbaczów - spytała, - w jakim języku będziemy rozmawiać?

- Jest mi to obojętne, czy po rosyjsku, czy po litewsku, po polsku, czy nawet po niemiecku.

- O, to z pana Garbaczów, taki "przejściowy" człowiek.

- A tak, "przejściowy".

- A więc krótko i węzłowato, niech pan mi opowie, jak to było - zażądała kobieta.

Opowiedziałem wszystko zgodnie z prawdą. Ona to spisała i wkrótce śledztwo zakończyła. Zapytała, czy mam jakieś życzenie.

- Na wolność mnie nie puszczą? - spytałem.

- Nie, nie wypuszczą. Nie mamy prawa wypuścić bez wyroku sądu. Teraz pora na sąd, który podejmie ostateczną decyzję.

Chciałem zobaczyć się z rodziną. Obiecała, że rodzina

zjawi się u mnie w czwartek.

W czwartek rano przyszli oboje rodzice. <sup>M</sup>naprzeciwko drzwi stał stół, przegrodzony kratą, przy której siedział żołnierz. Wykle więźniowie rozmawiali z odwiedzającymi przez siatkę. Dla mnie pani śledcza zrobiła wyjątek. Pozwoliła nam usiąść przy stole obok siebie. Usiedliśmy z rodzicami obok siebie. Przy przywitaniu wszyscy rozpłakaliśmy się. Mamusia straciła przytomność i upadła. Kobieta, która prowadziła śledztwo, zaczęła przywoływać lekarza. Za chwilę zjawił się doktor i docucił matkę. Wówczas śledcza zamierzała od wyjść. Na odchodne rzuciła pytanie:

- Ile ci dać tego jedzenia, które ci przynieśli?

- Pani śledczy, dziękuję ci za wszystko. <sup>M</sup>nie jedzenia wystarcza.

Mamusia przywiozła mi jedzenie. Były ciastka, ser, masło, papierosy. Wtedy już nie paliłem, lecz w domu o tym nie wiedzieli. Tylko wódki śledcza mi nie oddała. Dla siebie schowała kawałek kiełbasy. Po skończeniu widzenia, gdy odchodziłem, zleciła strażnikom, aby mnie nie kontrolować. Prowiant przeżyłem do celi.

Więźniowie cieszyli się jedzeniem, zwłaszcza kiełbasą. Najważniejsze jednak były papierosy. Jeden papieros krążył po celi pomiędzy dwudziestoma trzema więźniami.

Tuż przed wybuchem wojny odbył się sąd. Wyrokiem sądu, jako szpig polityczny, skazany zostałem na dziesięć lat więzienia.

Wybucho wojna rosyjsko-niemiecka.

Odbywa się sortowanie więźniów: kto miał zasądzone piętnaście lat, przechodził na prawo; powyżej piętnastu do dwudziestu lat - na lewo. Wszystko już było przygotowane - wykopane

doły, poustawiane czołgi. Karabiny maszynowe czołgów skierowane były na skazanych. Przybył prokurator, który odczytał wyroki. Nas zostawili. Resztę rozstrzelali i zostawili w rowie. Rozstrzelano więźniów politycznych. Byli oni w różnym wieku, młodzi i starsi.

Zostaliśmy załadowani na wagony, po sześćdziesiąt osób do wagonu. Wiele osób zginęło w wagonach już podczas transportu. Przywieziono nas do RIAZANIA.

W Riazaniu odsiadaliśmy swoje wyroki.

„Jawił się naczelnik i kazał mi zbierać się. Ubrałem marynarkę, założyłem buty i ruszyłem. Po przybyciu do naczelnika, oznajmił mi, że mam wstąpić do wojska.

- Do jakiego chcesz: do waszego czy naszego? - zapytał.

- Dlaczego miałbym iść do waszego? Oczywiście, że wstąpię do naszego wojska - odparłem.

- Pana ojciec i brat służyli w naszym wojsku. - „A więc wiedzieli już o ojcu i bracie!

- Ojciec mój na pewno już nie żyje. Jestem sierżantem i nie chcę, aby ktoś z waszych uczył mnie służby, skoro ja mogę innych pouczać.

- Zgoda, w porządku. - Naczelnik wypisał mi kartkę, wysłał do łaźni. Gorąca kąpiel sprawiła, że zemdlałem.

Przyszedł lekarz, który udzielił mi pomocy. Gdy się umyłem, nakazano mi iść do magazynu po odzież.

W magazynie na próżno szukałem swoich butów i płaszcza.

- Czego Polak szukasz?

- Ubrania swojego!

- Znalazł się burżuj. Bierz to, co jest!

Wziąłem kożuszek, buty i czapkę.

Poszedłem do naczelnika. Tam otrzymałem kartkę z rozkazem, iż w ciągu dwóch miesięcy muszę stawić się do wojska.

Furtkę otworzył mi wartownik. Wyszedłem. Czułem się osłabiony gorącą kąpielą i otępiały. Nie wiedziałem, gdzie ruszyć. Nie znałem miasta. Nawet nie orientowałem się, gdzie leży Rianzań. Przez myśli przeleciało mi podejrzenie, że wypuszczono mnie tylko po to, aby szpiegować.

Wówczas naczelnik krzyknął do wartownika:

- Zawrócić go!

Nie uciekałem. Wróciłem do naczelnika. Naczelnik poinformował mnie o zmianie swojej decyzji:

- Jutro wypuszczam dwudziestu trzech więźniów. Weźmiecie ich, Garbaczów, na swoje barki i doprowadzicie do wojska. Teraz możecie spokojnie poruszać się gdzie chcecie. Możecie nawet pójść do miasta.

Nigdzie nie chodziłem. Byłem zbyt wyczerpany, aby ruszyć gdziekolwiek.

Następnego dnia naczelnik wszedł do celi. Odliczył dwadzieścia cztery osoby, sporządził listę ze spisem nazwisk. Następnie odesłał nas do łaźni. Tam pouczyłem współwięźniów, aby w magazynie wybierali najlepsze ubrania. Naczelnik wypisał kartę na dwadzieścia cztery osoby oraz jednego dowódcę. Na jej podstawie mieliśmy prawo do otrzymywania darmowego prowiantu na dwadzieścia pięć osób.

Po wyjściu za bramę zaczęliśmy się całować, skakać z radości i płakać. Jeden żołnierz zdecydował się ryzykować i wrócić do domu.

W pierwszej restauracji nie chciano uhonorować naszej karty na prowiant. Żądano od nas zapłaty, tłumacząc, iż nasz dokument dotyczy wojskowości, a to jest prywatna restauracja cywilna. Mieliśmy więc pewne problemy z bezpłatnym otrzymaniem prowiantu!

Poszliśmy w cug. Wielu poszło w swoją stronę; ogółem odeszło czternaście osób.

Po dwóch miesiącach przyjechaliśmy do miasta, aby stać się - zgodnie z rozkazem - do wojska. Wybraliśmy prowiant na dwadzieścia pięć osób; zbędne porcje sprzedaliśmy cywilom.

Nie pamiętam dokładnie, gdzie zorganizowała się nasza armia.

Gdy przybyliśmy do wojska, zobaczyliśmy brzoźkę i godła państwowe. Zastaliśmy sierżanta, dwóch żołnierzy i jednego porucznika:

- Oj, panowie, to bardzo dobrze, że przyszliście. Przecież dziesięć osób stanowi już drużynę! - zostaliśmy powitani z radością.

Postawione były tam namioty, wykopane rowy, po których poruszaliśmy się. Po opał chodziliśmy do lasu. Paliliśmy brzozą i dębiną. Było przeraźliwie zimno.

Rozpatrzyliśmy się w tym wszystkim: było zimno, brakowało jedzenia, nie mieliśmy gdzieporuszać się. Zdecydowaliśmy się ponownie ruszyć w cug.

Wędrowaliśmy bez bliżej sprecyzowanego celu. Pobieraliśmy prowiant na dwadzieścia pięć osób. Czternaście zbędnych porcji sprzedawaliśmy za czerwienie. Rubli nie przyjmowaliśmy.

W końcu na dobre zaczęła organizować się armia. Wstąpiliśmy do armii. Początkowo była to drużyna i pluton, z czasem powstała kompania, batalion i dywizja.

Przyjechał do nas Józef Piłsudski i generał Anders. Przemówili do nas Piłsudski i generał Sikorski. Generał Sikorski powiedział, że od dziś stajemy się prawdziwymi żołnierzami. Utrzymamy angielski wikt i angielskie ubrania. Nakazano nam wyrzucić fufajki oraz wszelkie inne pozostałości z przeszłości.

- - - - -

Tuż przed Wielkanocą (dokładnej daty nie pamiętam) przetransportowano nas pociągiem do Persji.

W Persji były już przygotowane namioty, były także kobiety, które dla nas pracowały. Kobiety najczęściej pracowały jako kierowcy, zajmując się prowadzeniem taboru. W Persji spędziliśmy Święta Wielkanocne.

Następnie załadowano nas na statek i przetransportowano do Iraku. W Palestynie dowiedzieliśmy się o śmierci generała Sikorskiego, jego adiutanta i córki. Przyjechał do nas generał Anders, który objął dowództwo wojsk.

Generał Anders prowadził nas do Włoch.

We Włoszech zdobywaliśmy Monte Cassino, Monte Cairo, Forlì, Faenzę i Bolonię. W Bolonii Niemcy skapitulowali. Stamtąd powróciliśmy już do ojczyzny.

We Włoszech było bardzo ciężko. Wielkie trudności napotkaliśmy pod Monte Cassino przy zdobywaniu klasztoru.

Klasztor był otoczony z prawej strony morzem, a z lewej strony wysokimi górami. W ogóle nie mieliśmy podejścia. Robiliśmy więc dymne zasłony, ładowaliśmy osiołki, którymi przewoziliśmy swój ekwipunek.

Fortyfikacje niemieckie były na tyle stabilne, iż właściwie do tej pory można byłoby je bombardować.

Monte Cassino od Monte Cairo dzieliło coś około pięćdziesięciu kilometrów. Załadunek żołnierzy w Monte Cairo oraz ich przewóz do Monte Cassino odbywały się pod ziemią. Kamienne fortyfikacje w Monte Cassino wznosiły się na wysokości trzydziestu - czterdziestu metrów. W głazach znajdowały się jedynie luki na niemieckie karabiny. Całe pole znajdowało się pod obstrzałem niemieckim. Ze zmilitaryzowanej kompanii zostawało czterdziestu, trzydziestu, dwudziestu, nawet piętnastu żołnierzy. Wojsko było uzupełniane Polakami, Anglikami, Amerykanami, Kanadyjczykami, Belgami, Australijczykami, nawet Indianami.

Po zakończeniu wojny przemawiał do nas generał Anders. Powiedział, że wojna jeszcze nie jest zakończona. Stwierdził, iż obecnie istnieje jeszcze możliwość powrotu dla tych, którzy przed wojną mieszkali w Rosji i nadal chcą tam być.

Przybył również generał Duch z Warszawy. On również przemówił do nas:

- Przyjechałem z Warszawy, aby z wami porozmawiać. Oto znaleźliście się tutaj przed możliwością wyboru kraju, w którym chcielibyście zamieszkać. Jeśli chcecie pozostać we Włoszech, zostańcie. Jeżeli wolicie wyjechać do Ameryki,

Anglii, Australii, czy gdziekolwiek indziej, również nie ma żadnych przeszkód.

- Należy wypełnić deklarację, którą podpisze wam pułkownik czy generał - kontynuował swoje wyjaśnienia generał Duch. - Na podstawie tej deklaracji otrzymacie tam mieszkanie i pracę. Musimy tylko w razie nagłego wezwania lub powołania wiedzieć, gdzie jesteście.

Byliśmy wtedy tacy głupi. Pomyśleliśmy: "po co nam tam jechać?". A więc przyjechaliśmy tu, do Polski.

- - - - -

Po przybyciu do Koźła natychmiast zostaliśmy rozbrojeni, odebrano nam broń.

Do Warszawy przyjechało nas sześciu.

Udaliśmy się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tam nie chciano nas wpuścić, zbywano nas. Dzięki naszemu uporowi w końcu minister nas przyjął.

- Panie ministrze, jesteśmy polskimi żołnierzami spod Monte Cassino. Chcielibyśmy dostać się do swoich bliskich, odwiedzić ich.

- Przykro mi bardzo, nic nie mogę wam pomóc. Widzicie czerwony sztandar, idźcie więc tam. Jeżeli otrzymacie zezwolenie, przepustkę mogę wystawić wam w każdej chwili.

Udaliśmy się więc do Ambasady ZSRR:

- Wasze rodziny, rodzeństwo i rodzice poprzyjmowali rosyjskie obywatelstwo. Jeśli chcecie tam jechać, musicie i wy przyjąć nasze obywatelstwo.

Tylko pod tym warunkiem moglibyśmy pojechać do ZSRR. Obiecaliśmy przed podjęciem decyzji zastanowić się.

Po opuszczeniu Ambasady przemyśleliśmy, czym pachnie przyjęcie radzieckiego obywatelstwa. Nie przyszło to nam z trudem, zważywszy na lata naszego więzienia tam oraz sposób traktowania nas przez Rosjan.

I znów wędrowaliśmy, lecz tym razem już po Polsce. W tym czasie poznałem swoją żonę, ożeniłem się. Założyłem własną rodzinę i jakoś żyję tu, w Polsce, swojej ojczyźnie.

Ułożenie sobie życia przychodziło mi jednak z wielkim trudem, na każdym kroku potykałem się o ogrom problemów i biurokratycznych barier.

- - - - -

Powróciłem z wojny jako inwalida wojenny. Trudno mi było otrzymać pracę. Udałem się do Warszawy, do ministerstwa. Przydzielono mnie do pracy w Zakładach Radiowych "DIORA" w Dzierżonowie na Dolnym Śląsku. Byłem dyspozytorem.

W międzyczasie próbowałem ponownie uzyskać zezwolenie na wyjazd do Wilna do swojej rodziny. W Dzierżonowie możliwość takiego wyjazdu opieczętowano w dowodzie osobistym napisem "ANULOWANO". Odwoływałem się do Wrocławia oddalonego od Dzierżonowa o siedemdziesiąt kilometrów. Niestety, odwołanie przyniosło podobny rezultat.

Udałem się więc do Warszawy. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych pułkownik wyjaśnił:

- Panie Garbaczów, pan ma coś do czynienia z milicją.

Zarzut ten stanowczo odparłem:

- Tyleż samo mam do czynienia z milicją, co z panem!

Dlaczego pan pułkownik nie powie mi wprost, iż jestem ściągany za przynależność do armii Andersa? Przecież wiem, czym pachnie teraz armia Andersa! Jestem inwalidą wojennym z przestrzelonymi płucami. Przy ubieganiu się o rentę, gdy tylko przeczytają "żołnierz armii Andersa", natychmiast moje papiery wyrzucają do kosza.

Kiedy u kolegi zaśpiewałem "Czerwone maki na Monte Cassino", przyszedł ormowiec, wziął nas obydwu za frak i doprowadził na milicję. Na szczęście komendant milicji był moim znajomym. Uprzedził mnie, abym więcej takich rzeczy nie robił. Zagroził, iż następnym razem będzie zmuszony mnie zamknąć i nigdy już nie zobaczę swojej rodziny.

Gdy skończyłem, pułkownik zawołał sekretarkę i polecił jej wypisać na moją rzecz zwrot kosztów podróży na trasie Dzierżoniów - Warszawa i Warszawa - Dzierżoniów.

Wówczas oświadczyłem, iż chciałbym pojechać do Wilna do swojej rodziny. Pułkownik uprzedził, że może mnie tam spotkać los podobny losowi mego ojca. Odparkłem:

- Jeśli mało im jeszcze mięsa, również i mnie mogą zjeść, tak jak zakatowali mego ojca!

W kwestii wyjazdu do Wilna byłem nieustępliwy. Pułkownik kazał mi wracać do domu. Uspokoił, że wszystko będzie w porządku.

Na trzeci dzień po powrocie z Warszawy, otrzymałem wezwanie na komendę:

- Panie Garbaczów, proszę zdać książeczkę wojskową. Może pan jechać do Związku Radzieckiego, kiedy pan zechce. Taka decyzja nadeszła z Ministerstwa.

A więc jednak! Po wielu latach znalazł się jeden

pułkownik, który wstawił się za mną. Lecz przez tyle powojennych lat nie było absolutnie nikogo, kto wstawiłby się za mną, przejawiał odrobinę dobrej woli, aby udzielić mi pomocy. Dotychczas ganiano mnie jak psa...

W dzierzoniowskiej "DIORZE" pracując jako dyspozytor między PKP a zakładem, zajmowałem kierownicze stanowisko. Kierowałem załadunkiem i rozładunkiem wagonów.

Kazano mi wstąpić do PZPR. Zawołano mnie na egzekutywę partyjną i oznajmiono wprost, iż kierownik nie może być bezpartyjny. Pojawił się jednak zarzut mojego udziału w armii Andersa. Na koniec pomimo wszystko, zwyciężyła obcja sekretarza POP, iż dla dobra zakładu warto pominąć moją wojenną przeszłość. W warunkach pokoju, jako kierownik, muszę zostać członkiem partii.

Gdy wstąpiłem do PZPR, na własne oczy ujrzałem, co partia i jej członkowie wyrabiają. Bito naszych ludzi, aby okazać, jak daleko sięga władza partii. Nie potrafiłem pogodzić się z tak niegodziwymi poczynaniami członków partii; zdałem legitymację.

Obstawiono piętnaście osób, zebrano o mnie i o mojej pracy opinię od kierownika personalnego. Opinia była pozytywna, nie zarzucono mi niczego. Zawieźli mnie jednak do Wrocławia i więzili mnie przez jedną noc.

We Wrocławiu znalazłem się pomiędzy majorem i pułkownikiem. Usłyszałem:

- Polacy to jeszcze młodzi żołnierze: nie idą za demokracją, lecz popierają nadal faszystów. Nasz naród jest nieuświadomiony.

Zapytano mnie, gdzie, według mnie, lepiej żyje

naród - w Ameryce czy w Związku Radzieckim.

- Panie majorze, jako żołnierz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej walczyłem i przelewałem krew za ojczyznę i wolność. Pan, jako dowódca, wydawał mi rozkazy, które ja wykonywałem. Ja tylko miny rozbrajałem, szedłem na Niemca i krew przelewałem. To pan major albo pan pułkownik powinni wiedzieć, gdzie lepiej naród żyje i uświadomić o tym nas, prostych żołnierzy!

Gdy skończyłem, zebrałem gromkie brawa i dano mi już spokój. O godzinie dwunastej oznajmiono mi, że jestem wolny. Zażądałem, aby - jako niesłusznie zatrzymanego - odwieziono mnie do Dzierżoniowa. Wróciłem do pracy w "DIORZE".

Wówczas sekretarz zażądał ode mnie, abym podpisał deklarację o przyjaźni polsko-radzieckiej.

- Panie Janeczku, prędzej cholera cię weźmie, niż ja podpiszę się pod taką przyjaźnią! - Zaprotestowałem stanowczo.

Od tej pory pozostawiono mnie w spokoju.

- - - - -

Siedziałem w więzieniu, podobnie jak wielu innych ludzi, lecz nie mogę powiedzieć, aby wszyscy współwięźniowie byli moimi znajomymi. Podczas pobytu w więzieniu obcowałem z więźniami, widywałem się z nimi. Później nasze drogi rozeszły się.

Również na froncie byłem z ludźmi. W 1938 roku i 1939 rokumiałem przeciw swoich dowódców, lecz żadnego z tych żołnierzy dotychczas nie spotkałem. Wszystko zostało bardzo

rozproszone.

Będąc w Wilnie, chciałem obejrzeć swoje dawne koszary, lecz wszystko już się pozmieniało. W tym miejscu nie ma tych samych koszar. Te dawne miejsca tak bardzo się pozmiały, rozbudowały, iż nie można już ich poznać.

Powszechnie wiadomo, iż nasi ludzie, tzn. Polacy zamieszkujący obecne tereny Związku Radzieckiego, bardzo ucierpieli w czasie wojny.

Rosjanie nie liczyli się z nikim. W środku nocy przychodzili z karabinami, wyciągali z łóżka i - wywozili z domu. Często zdarzało się i tak, że zanim samochód z aresztowanymi dotarł do miejsca przeznaczenia, ludzie umierali z wyczerpania i głodu. Na ogół trupy wyrzucało z samochodu.

O okrucieństwie Rosjan, które przeżyłem osobiście, świadczą również może - przedstawiona przeze mnie wcześniej - ich agresja względem więźniów prowadzonych do Starej Wilejki.

Trudniej mi natomiast powiedzieć, w jakim stopniu ucierpiała ze strony wschodniego sąsiada moja najbliższa rodzina. Podczas wojny nie było mnie w domu, większość czasu spędziłem w niewoli lub zagranicą.

Wiem, że tatuś i brat zginęli. Na skutek tych przeżyć zmarła również mamusia. Ojciec mój, Walerian Garbaczów, zginął w 1941 roku z rąk sowieckich w Starej Wilejce. Był już wtedy w starszym wieku.

Brat mój, Stefan Garbaczów, urodzony w 1906 roku we wsi Izabelino, zmarł około sześciu - siedmiu lat temu

gdzieś w głębi ZSRR. Przebywał tam od czasów wojny.

Po śmierci brata siostra przysłała do mnie list, z zapytaniem, czy pojedziemy na jego pogrzeb. Należało najpierw pojechać do siostry do Wilna. Z Wilna czekała nas bardzo długa i męcząca podróż samolotem, pociągami i autobusem. Na miejscu powitałaby nas sroga syberyjska zima z trzaskającym mrozem. Oczywiście na pogrzeb już nie zdążylibyśmy; w najlepszym wypadku moglibyśmy zobaczyć jedynie grób brata - o ile zdołalibyśmy go odszukać. Na skutek tych trudności, z podróży na Syberię zrezygnowaliśmy. Dotychczas nie wiem, gdzie jest pochowany mój brat.

Z Polakami ze wschodu Rosjanie obchodzili się okrutnie. Mój ojciec, brat oraz ja nie byliśmy w tym odosobnieni; nie liczoło się z nikim.